

Nowa posada w Belwederze?

Znamienne, jak Wojciech Szot szczegółowo i ab ovo tłumaczy czytelnikom, kim był Sergiusz Piasecki, bo pokazuje to rzecz szczególnie bolesną, czyli odmienność wyobrażeń i kompetencji podzielonej Polski.

Kohabitacja *à la polonaise*? Po staremu, profil „Sok z buraka” (czy jego twórca dalej pracuje w warszawskim Ratuszu?) codziennie zamieszcza pod adresem prezydenta RP dziesięć do piętnastu wulgaryzmów, ochoczo pomnażanych przez Silnych Razem. „Super Express” uruchamia paparazzich, by zdobyć niekorzystne zdjęcia jego teściowej, Bronisław Komorowski skwapliwie wylicza pierwsze błędy głowy państwa (trudno mu odmówić w tej kwestii kompetencji), dociekliwi zaś dziennikarze Onetu dotarli do niewymienionego z imienia kolegi Karola Nawrockiego z roku, który stwierdził, że ów „studentem był bardzo przeciętnym”. I doigrał się, miernota – trafił do Belwederu, podczas gdy ci nieprzeciętni mają szanse zostać anonimowymi informatorami portalu.

Tym większe uznanie budzić musi podejście bardziej merytoryczne – takie, jakie zaprezentował publicysta działu kultury „Gazety Wyborczej”, red. Wojciech Szot. W szkicu o epickim tytule „Przemysłownik, kokainista, agent wywiadu, maskotka salonów. Karol Nawrocki chciałby być jak jego ulubiony pisarz?”, zamieszczonym w weekendowym

„Magazynie GW”, Szot odtwarza kolejne epizody, świadczące o zainteresowaniu prezydenta dorobkiem autora „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy”, czyli Sergiusza Piaseckiego.

Co w tym szkicu naprawdę ciekawe (a na pewno – odkrywcze dla wielu czytelników „Wyborczej”) to akapit: „Nietrudno zrozumieć fascynację prezydenta autorem «Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy». Prawica od dawna stawia na przypominanie historii ludzi, których zawiódł system – od «żołnierzy wyklętych», przez ofiary komunistycznych represji, aż po współczesnych bohaterów walki z «lewackim establishmentem». Odwołuje się tym samym do wciąż obecnej w społeczeństwie – i zupełnie przegapionej przez niemal każdy rząd – traumy zapaści przełomu lat 80. i 90. To wtedy dla wielu młodych ludzi quasi-przestępcze ugrupowania stały się jedyną szansą na lepsze życie. Antykomunizm Piaseckiego i jego spór z intelektualną elitą uprawomocniają i wzmacniają ten etos”.

Jest oczywiście w tym akapicie sporo ukrytych treści: od cudzysłowu przy frazie „lewacki establishment” (czy ktokolwiek używa na serio takiego terminu?) poprzez ocenę, że zapaść początku lat 90. gotów był przeoczyć „niemal każdy rząd” (bez większego trudu wymienić mogę gabinety, które charakteryzowały się w tej sprawie większą lub mniejszą spostrzegawczością), aż po przywołanie dość prostolinijnych (powojennych) poglądów Piaseckiego i zasugerowanie, że to ich kształt stanowi dla prezydenta dodatkową atrakcję. Innymi słowy, ciasteczko naszpikowane zostało nieco arsenikiem. Sam jednak fakt odnotowania realnej (a nie tylko urojonej lub wręcz wymyślonej przez demagogów) traumy okresu modernizacji jest na łamach „Gazety Wyborczej” motywem nadal świeżym.

Przeczytaj również: Czytelnia publiczna – recenzje Wojciecha Stanisławskiego

Znamienne, jak Wojciech Szot szczegółowo i *ab ovo* tłumaczy czytelnikom, kim był Sergiusz Piasecki. Że urodzony w Lachowiczach. Że wywiad. Że przemytnik. Że wyrok odsiadywany na Świętym Krzyżu i ułaskawienie, wyproszone przez Wańkowicza i Cata („Do apelu dołączył Zygmunt Wasilewski, czołowy ideolog nacjonalistów, naczelny «Myśli Narodowej»” dodaje dziennikarz, jak rozumiem – w celu nadania Piaseckiemu bardziej endekoidalnego szlif; w rzeczywistości nie przeceniałbym wpływu „Myśli Narodowej” na decyzje sanacyjnego prezydenta). Dalej – związki z AK, emigracja, Anders, zatarg z Miłozsem... – Królowa Bona umarła! – mógłby wykrzyknąć ktoś przywiązany do przedwojennych *bon motów*.

Znamienne to, bo pokazuje to rzecz szczególnie bolesną, czyli odmienność wyobrażeń i kompetencji „podzielonej Polski”: wygląda na to, że regularnym czytelnikom „Gazety Wyborczej” rzeczywiście objaśniać trzeba nader szczegółowo, z ociężałością wikipedycznej noty (choć mniej od Wikipedii szczegółowo) kim był ów dziwny, kompletnie nieznany dotąd („pierwsze słyszę!”) Sergiusz Piasecki. (Owszem, dopuszczam myśl, że regularni czytelnicy któregoś z „tygodników prawicy” mogliby z kolei nie kojarzyć szczegółów biografii np. Adama Ważyka. Nie jest to żadne pocieszenie).

Zabawnie staje się za to, gdy Szot pisze o Piaseckim jako o „nowej literackiej ikonie prawicy”. Nowej? Ikonie? Zerknąłem do katalogu Narodowej online, by potwierdzić swoje intuicje: owszem, akurat „Bogom nocy równi” wznawiani są co 2-3 lata począwszy od roku 2010, ale już „Siedem pigulek Lucyfera” ukazały się ostatnio, w bardzo

niewielkim nakładzie, w 2017, poprzednie zaś cztery wydania to rok 1990... I taka jest reguła, nazwijmy to, dynamiki wydawniczej jego książek: wszystkie bodaj tytuły wydane zostały, raz i drugi, na emigracji, głównie w Londynie. W połowie lat 80. pojawiły się podziemne wydania kilku najgłośniejszych tytułów: „Zapisków oficera Armii Czerwonej”, etc. U progu niepodległości nastąpił prawdziwy *boom* na Piaseckiego, który utrzymał się do połowy lat 90., potem zaś zaczął przygasać w postępującym tempie. Określenie autora „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy” mianem „nowej literackiej ikony prawicy” w roku 2025 – niezależnie już od tego, kogo red. Szot ma za „prawicę” – brzmi równie celnie, co komunikat o rosnącej popularności Stanisława Przybyszewskiego w kręgach młodej lewicy ekologicznej. Doprawdy, jeśli prawica ma jakieś swoje „ikony literackie” (owszem, czasami zdarza mi się w to wątpić), to są one młodsze od Sergiusza o siedemdziesiąt, jeśli nie sto lat.

Niezależnie od tego, że sugestia „wielkiego *comebacku*” Piaseckiego wydaje się naciągana do głównej tezy („Czyżby Nawrocki – konkluduje Szot – wierzył, że w gangsterach tkwi gołębia dusza i literacki zew? [Czy] będzie wspierał „obrońców granic” i neonazistów? [Czy] chce być jak Mościcki i uniewinnić swojego Piaseckiego?”), ukazuje ona istotny, a dość łatwo możliwy do uzupełnienia deficyt najwyższych struktur władzy w Polsce.

W 36 lat po odzyskaniu niepodległości nie doczekaliśmy się bowiem osoby, która wzięłaby odpowiedzialność polityczną za lektury i księgozbiór Prezydenta RP. A konsekwencją tego jest obniżanie prestiżu głowy państwa: jeden z byłych już prezydentów zasłynął z wymieniania przez kilka kolejnych lat tego samego tytułu jako „książki,

która ostatnio leży na jego stoliku nocnym”, inni, zagadywani nieopatrznie przez dziennikarzy o ulubione lub najnowsze lektury zwykle zmieniali temat.

Zajrzyj: Księgarnia Teologii Politycznej

A przecież jeszcze w I RP istniała instytucja Królewskiego Bibliotekarza, którą sprawował m.in. redaktor „Zabaw Przyjemnych i Pożytecznych” (a po III rozbiore – prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk) Jan Chrzyciel Albertrandi. Stabilne kraje do dziś posiadają podobny urząd – w Wielkiej Brytanii na przykład godność Royal Librarian piastuje od roku 2019 pani Stella Panayotova. Cóż stoi na przeszkodzie, by przywrócić ten urząd w Polsce, z nieznacznie zmienioną tytułaturą i zakresem obowiązków?

Lektor Prezydencki zadba o dobrą antologię scen bokserskich w literaturze światowej (począwszy od walk pięściarzy na pogrzebie Patroklosa, aż po Hemingwaya i Pratchetta). W sprawie kanonu min. Nowackiej doradzi, tytuł na Narodowe Czytanie wybierze, przede wszystkim zaś sprawi, że prezydent wymieniać będzie wśród bliskich sobie pisarzy nie tylko Sergiusza Piaseckiego, lecz i Julę Łyskawę, i Martę Hermanowicz, i Ziemowita Szčerka, i Barbarę Klicką.

Nie musi to być, oczywiście, urząd, którego istnienie gwarantowane jest na mocy ustawy zasadniczej, choć przy okazji możliwego konstytucyjnego resetu warto pomyśleć i o takiej ewentualności. Być może warto na takie stanowisko – w ramach nowego modelu kohabitacji – zaprosić Wojciecha Szota?

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj również: Felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
